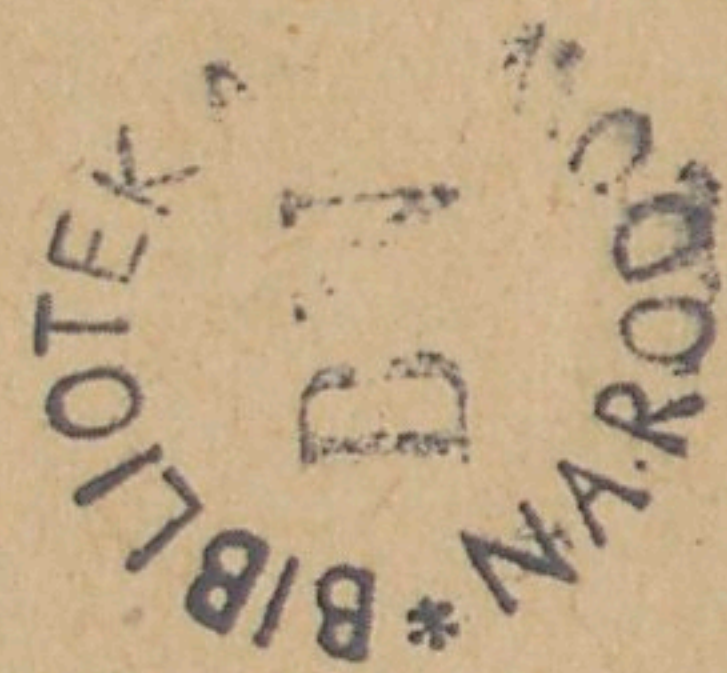


ADA NEGRI

MIEJSCE STARYCH

Autoryzowany przekład z włoskiego R. Centnerszwerowej

NAKŁADEM „BLUSZCZU”. — WARSZAWA, 1924.



1 1.575.306

Nie zdziwiła się, ani też zbyt przejęła, kiedy pewnego czwartku, w porze zwykłych odwiedzin szpitalnych, zapytany przez nią, jak zawsze, dyżurny urzędnik odpowiedział bez wstępów i przygotowań, przerzucając karty spisu:

— Numer pięćdziesiąty dziewiąty?... z ulicy Świętego Józefa... umarł tej nocy.

Doskonale zrobił ów, uprzejmy jak jeżozwierz, biurokrata z dobroczynności, oszczędzając jej wyrazów współczucia.

Od kilku miesięcy już, w kąciku swojego pokoju, zapalała codziennie lampkę przed obrazem Madonny Caravaggia; na jaką intencję, wiedziała tylko ona sama, ona sama też pilnowała, aby nie zbrakło w lampce oliwy. I oto Madonna spełniła upragniony cud: zabrała życie i szynkowni Gigi Fracetta, zwanego Rosinim, ulubieńca okolicznych tawern dzięki wspinałemu jego głosowi tenorowemu i rozrzutności, z jaką ciskał na dno szklanicy własne swoje zarobki woźnicy, a także zarobki żony, Felcjany, znanej z pięknego szycia bielizny.

Filozofja Felicjany była prosta i logiczna: kto jest niepotrzebny, jest szkodliwy; powinien umrzeć! I właśnie mąż jej umarł w samą porę. Dla dwojga drobnych dzieci daleko lepszą opiekunką jest matka-wdowa, sprawna i silna, niż stu ojców-pijaków. Z mężczyznami rozbrat weźmie zupełny. Ten jeden w ciągu siedmiu lat smutnego pożycia małżeńskiego obrzydził jej swój ród aż nadto. Będzie pracowała sama, dopóki jej sił starczy, a wtedy chłopcy, którzy dorosną do tego czasu, zaopiekują się z kolei matką.

Rozumując zupełnie słusznie, że zarobki skromnej bieliźniarki są zbyt niepewne i nieregularne, aby troje głodnych ust miało opierać na nich pewność egzystencji, udała się bez wahania do pana Agliardi, właściciela fabryki wyrobów wełnianych, któremu od wielu lat odnosiła koszule i mankiety, szyte przez nią na rachunek eleganckiego sklepu, gdzie je zamawiał. Na prośbę o umieszczenie jej w fabryce, [odpowiedział zdumiony, jak gdyby spadł z obłoków:

J.j...akto? j.j.jak to?... (zacinał się trochę w mowie, co było zarazem wadą jego i stałą zmorą)
J...j...akto? Felicjano!... W fabryce? ty?... T...t...y?... taka wąta?... Czy będziesz mogła w...w...ytrzymać?... w t.t...akiem p...p...iekle?...

Stojąca przed nim kobiecina była istotnie drobna i napozór wąta. Wpiła w niego wszakże parę oczu pełnych zapалу i energii, usta jej były szerokie i twarde miały wykrój, zarysowane prostą linią nad

wystającym podbródkiem. Twarz, tchnąca mocą odporną; drobny organizm ze stali, którego każda sprężynka we właściwym znajdowała się miejscu, każde kółko funkcjonowało sprawnie, jak w doskonale sporządzonej maszynie.

Przełamała wreszcie jego niechęć. Ustąpił nie tyle przez litość nad nią, ile przez nieświadome poczucie szacunku dla tej siły kobiecej, urobionej na narzędzie pracy. Wstąpiła do fabryki i po kilku miesiącach została pomocnicą majstra w oddziale tkackim za lira i siedemdziesiąt pięć centów dziennie.

I tyle. Lir i siedemdziesiąt pięć centów! Pan Agliardi miał nawet dobre serce, ale w owym czasie, około roku 1870-go, płace kobiece nie przekraczały tej normy. Zadowolniła się tem; miała odwagę. Byleby pewny kawałek chleba. Nie myślano jeszcze wówczas o kooperatywach robotniczych, o syndykatach i bezrobociach. Jakoś udawało jej się wyżywić za te pieniądze siebie i dzieci, któremi, po powrocie ich ze szkoły, opiekowała się sąsiadka. Wyżywić siebie?... Ot, głupstwo. W południe miseczka mleka z chlebem i trochę zupy; kawałek kukurydzowego placka wieczorem... Powtarzała zwykle ze śmiechem: „Kto utrzymuje, że to zamało, aby żyć, kłamie przez żarłoczność; kto je więcej, hoduje sobie tylko astmę i artretyzm“.

Była uosobieniem optymizmu. Na oknie jedynej jej izdebki kwitła szkarłatna geranja, którą podle-

wała o piątej z rana przed pójściem do fabryki i wesoło witała wieczorem pieśczośliwymi słowami niby trzecie dziecko. W niedzielę, idąc na spacer z dwoma swoimi urwisami na zapyłone, skąpo porośnięte łąki za miastem, śpiewała świeżym głosem modną piosenkę, wdychając wszystkimi porami ciała i duszy upojenie słońcem, zielenią i krótkimi chwilami swobody.

Tak mijał czas. Dla czego czas mija tak szybko?... Ten, który zostawiamy po za sobą, jest zawsze owym lepszym, nawet kiedy przeżywaliśmy w nim smutki.

Powoli, nie czując tego, przystosowała się zupełnie do rytmu i rodzaju codziennej swojej pracy. Jak gdyby poruszała się w takt czółenek, sunących tam i z powrotem, jak gdyby uzgodniała bicie własnego serca i pulsu z obrotem kół, pasów, dźwigów, śrub, wszystkich owych niemych ramion maszyny, które wydają się kikutami o ruchach tragicznie precyzyjnych. Nie mogła już wyobrazić sobie własnego życia bez huku transmisyj nad głową, bez smaku pyłu wełnianego w gardle, zapachu stęchłej oliwy w nosie, a nadewszystko bez wylewnej i głośnej przyjaźni towarzyszek fabrycznych.

Chłopcy dorastali. Franek, pracujący już w sklepie, okazywał wyraźne zdolności do mechaniki i sumiennie przynosił do domu drobne swoje zarobki. Leonek, nerwowy, skupiony, inteligentny, szczupłej

budowy jak matka i z tym samym, co ona, energicznym wyrazem twarzy, wbił sobie do głowy, że musi się uczyć, studjować, wznieść się ponad przeciętny poziom. Udało mu się zyskać subsydjum państwowe, dzięki któremu wstąpił do szkoły normalnej; za lekcje, które dawał, kupował książki. Felicjana poznawała siebie we wrażliwym, łatwo pobudliwym usposobieniu i w tajonej ambicji młodszego syna; w starszym znów, w jego zdrowej, pogodnej naturze widziała odbicie najlepszej strony własnego charakteru, nieustraszonego swojego optymizmu. Obaj stanowili jakby dalszy jej ciąg; ich siły młode były uzupełnieniem jej siły; pewna była, że znajdzie w nich z czasem niezawodną na starość podpórę, upragniony odpoczynek.

Przeszła jednakże głuchy, straszliwy okres krytyczny, pomiędzy czterdziestym piątym a pięćdziesiątym rokiem życia. Zdawało jej się, że przestała być sobą. Godziny zupełnego wyczerpania uniemożliwiały jej pracę, spędzała noce bezsenne, podczas których trawił ją żar wewnętrzny i dławiły dziwne zmory, aż zrywać się musiała z łóżka, aby wreszcie o świcie, właśnie kiedy trzeba było ubierać się i biec do fabryki, odarta z resztek sił, niby łachman bezduszny, padała bez tchu. Ale co najgorsze, co nigdy nie zdarzało jej się dawniej i co paliło ją rumieńcem wstydu, — nie mogła spojrzeć na szerokie bary lub na masywne karki towarzyszy, aby nie uczuć dziwnego dreszczu, wstrząsającego nią całą. Niewidzialne

jakieś ręce, które czuła jednak najwyraźniej, przebiegały wzdłuż jej ciała, nabrzęklego i ociążałego pod wpływem tajemniczych przewrotów, jakie zachodziły w jej organizmie.

Cierpiała. Wybuchy rozstroju histerycznego wstrząsały nią, taką zwykle równą i pogodną. Przyciskała czasem z całą siłą do łona, tuliła rozpaczliwie obu swoich chłopców, obecnie sporych już wyrostków, wdychając z zapierającą dech rozkoszą młodzieńczy zapach ich świeżych ciał. Pewnej nocy, po ciemku, posunęła się nawet do oplakiwania odmowy, jaką dała przed kilku laty głównemu majstrowi tkackiemu, który chciał się z nią ożenić i który przez miłość dla niej gotów był wziąć na siebie ciężar utrzymywania jej synów. Teraz, zapóźno już, zrozumiała, że potrzeba jej było mężczyzny, jego pieśczoć i jego twardej pięści, jego opieki i jego władzy. Ale mężczyźni nie patrzyli już na nią: doszła do wieku, w którym kobieta przekwitła, wyciągająca rozpacznie ramiona ku miłości, nie budzi już w mężczyźnie pożądania.

Stopniowo ustały noce bezsenne, krew wzburzona uspokoiła się, nerwy powróciły do tępej równowagi, mięśnie ciała i twarzy obwisły, skóra nabrała odcienia żółtawego — i Felicjana zrobiła się starą kobietą.

Starą, ale nie niedołężną. W ciągu dziewięciu lat jeszcze widywał szeroki gościniec podmiejski wiodący do fabryki, przyspieszającą bardziej kroku

z rana i zwalnającą go wieczorem, drobniuchną figurkę, otuloną czarnym szalem, z gołą głową opruszoną siwizną, wciąż jednak jeszcze mającą na ustach gotowy żart, uprzejme powitanie i zwrotkę wesołą, gdy szła wśród grona towarzyszek pracy.

Dopiero kiedy ostre bóle reumatyczne i gorączka przygwoździły ją do łóża szpitalnego, kiedy nie była już w stanie wcale niemal poruszać nogami, ustąpić musiała z pola. Bez grosza emerytury, biedna jak mysz kościelna, mająca jedyną suknię na grzbiecie, ale pogodna wciąż i ufna, jak święty Franciszek, rzekła do synów, rozwierając przed nimi ramiona:

— Macie mnie. Skończyłam. Teraz na was kolej.

* * *

Franciszek, jej pierworodny, odpowiedział:

— Chodź, matko, ze mną.

Franciszek był dobry i zarabiał pięć lirów dziennie w fabryce samochodów. Nie były to już owe czasy, kiedy Felicjana dziękowała Bogu, że będzie mogła utrzymać siebie i dzieci za całego lira i siedemdziesiąt pięć centów dziennie. Wszystko podrożało w trójnasób: komorne, mięso, jarzyny.

Franciszek nie był już wolny: ożenił się z ładną, energiczną blondyneczką, krawcową, szyjącą u siebie w domu.

Mieli dwa pokoiki, — ale matka musiała zadowolnić się sypianiem w kuchni, na łóżku składanem

za papierowym parawanem; tak zwany salonik, przylegający do pokoju małżeńskiego, służył Teresce w dzień za pracownię, a wieczorem za jadalnię.

Kuchenka pełna była wyziewów tłuszczu i stęchlizny; jedyne jej okno o szybach zmartwiałych otwierało się na małe podwórko, ciemne i wieczne zaśmieczone, ponure, jak dziedzińczyk więzienny. Serce Felicjany, wciąż jeszcze ptaszęco młode w starym, zbolełym ciele, ścisnęło się z żalu. Stała jej w pamięci doniczka ze szkarłatną geranią na oknie dawnego gniazdka, pełnego słońca, w którym wyhodowała swoje pisklęta. Teraz, wobec tej obcej, tej synowej o bystrem spojrzeniu i piegowatej twarzy, czuła wyraźnie, że nie jest u siebie, czuła wyraźnie, że syn nie należy już do niej.

Pomagała, o ile tylko mogła, cicho i potulnie: słała łóżka, sprzątała pokoje, pilnowała garnków.

Chętnie byłaby też szyła i warzyła sama strawę, nucąc swoje piosenki, ale dwudziestopięcioletnia praca w fabryce i odżywianie się chlebem, mlekiem i plackami kukurydzowymi sprowadziły jej umiejętność szycia i gotowania do zera niemal. Zły humor Tereski, jej wieczne wybuchy irytacji na drożyznę i na rzekome skąpstwo klientek, wtłaczały matce, zrywającą się z ust, zwrotkę wesolą napowrót do gardła. Biedaczka!... Nie mogła pokonać w głębi duszy bolesnego wrażenia, że w domu swojego pierwszorodnego jest w roli sługi prawie, jest zaledwie tolerowana.

Ale Leon z dużej wsi, gdzie dostał posadę nauczyciela szkoły powszechnej, pisał: „Bądź cierpliwa, mamusiul... Zobaczymy się w krótkce!... Przyjadę niezadługo po Ciebie!... Zamieszkas z nami!...“

...*Z nami*. I ten nie był już sam. Wiecznie powtarzająca się tragedia: przedwczesne małżeństwo, poświęcenie ambitnych dążeń dla uczucia, młody poeta, marzyciel o bladym, natchnionym czole, wyróżniany zaszczytnie na konkursach, zmuszony do ubiegania się o posadę nauczyciela w szkole wiejskiej, byle zarobić na życie. Wszystko to z miłości, jaką zapalał nagle do czarnych kędziorów i kwiecistej mowy koleżanki. Wiele sprzeczności charakterów, moc zaklęć gorących, chatka i twoje serce, poezje, zamknięte na cztery spusty w drewnianej szkatułce, mężczyzna, wprzęgnięty na całe życie do taczki potrzeb powszednich, z kulą, którą sam sobie przywiązał do nogi...

Ale mała Fifinka kończyła czternaście miesięcy, Fifinka zaczynała chodzić, kołysząc się na niepewnych jeszcze, trochę skrzywionych nóżkach, a Leon napisał powtórnie do matki. „Przyjedziemy cię zabrać, zamieszkas z nami“.

Bez żalu rozstała się z kuchnią na czwartym piętrze i z wiecznym zrzędzeniem Tereski, aby pójść niańczyć małą Fifi. Niech będzie błogosławiony Stwórca Najwyższy tysiące tysięcy razy!... Jest więc jeszcze ktoś na świecie, komu może być potrzebna!....

Tym razem już dostała maleńki własny pokój

z kołyską Fifi tuż przy łóżku. Dziecko budziło się często w nocy, a matka musiała mieć spokój, bowiem ze względów oszczędności nie chciała porzucić stanowiska nauczycielki w szkole.

Zdawało się Felicjanie, że odmłodziła, że przeżywa ponownie dawne czasy, kiedy Franciszek i Leon byli jedynie pakieczkami różowego, miękkiego ciastka i stanowili bezpodzielną jej własność. Postawiła wazoniki cynerarji i goździków na oknie, z którego widać było pola i niebo; Fifinka szczebiotała pierwsze niewyraźne słowa, życie upływało mile. Pan Bóg był sprawiedliwy.

Ale po Fifince przyszedł Toto, a po Totce Bebusia. Pomimo wszystkich słów wzniosłych i marzeń przy świetle księżyca, ex-poeta i słodko-kwaśna, wytworna, nerwowa nauczycielka okazali się, bardzo prozaicznie, przeraźliwie płodnymi. Dwa przedwczesne porody zrujnowały do reszty słaby z natury organizm młodej matki, nie pozwalając jej na dalsze uprawianie zawodu nauczycielskiego. Trzydziestopięcioletnia kobieta była już nie do poznania: ofiara szkodliwych nadużyć i zwyrodnień, powodujących tak często utratę równowagi duchowej u tylu istot nieszczęsnych. Taka właśnie forma chorobowa dręczyła żonę Leona.

Sześć osób gnieździło się w ciasnym mieszkanku, następując sobie wzajem na nogi: płacz i krzyk dzieci, ślepe wybuchy szału biednej matki, dręczonej napadami nerwowymi, zgryźliwość i mizantropja ojca,

przeciążonego pracą i udreka moralną, a Felicjana wśród tego piekła — żyła jeszcze.

Śmierć zapomniała o niej. Pozostało jej na własność łóżko jedynie i wieszadło na ubranie, resztę zabrały wnuki. Brakło jej niemal tych kilku sześciennych stóp powietrza koniecznych do oddychania. Dorośli i mali przemocą sił swoich żywotnych zdławili ją, wtłaczając — bezwiednie może — w krąg ciasny, w którym dusiła się i w którym nie było miejsca na starczo — chwiejne, powolne jej kroki, przeszkadzające zabawom Totka i koziółkom Bebusi.

Jadała teraz oddzielnie, ze specjalnej miseczki, zupy mleczne, chociaż z latami coraz pożądliej spragniona była mięsa i jarzyn. Zauważyła jednak, że synowa liczy jej kęsy do ust i że trudność żucia bezzębnymi dźwiątami drażni młodą kobietę, która stała się jednym kłębkim nerwów.

Staruszka bliżej była już końca niż początku osiemdziesiątki. Przygarbione, nawpół zgięte jej ciało, okryte pomarszczoną, wyschłą jak pergamin, skórą, zachowało jednak w powolnym tem skostnieniu krew wciąż jeszcze czerwoną, serce jeszcze krzepkie, mózg jasny, namiętne zawsze pragnienie życia.

Dawna Felicjana, cudowne ongi narzędzie pracy, władczyni świata wobec warsztatu tkackiego w ruchu, budziła się w niej chwilami. Próbowwała wówczas z dawno minionej przeszłości czerpać pamięć śpiewanych niegdyś wesołych piosenek, ale wyschłe wargi nie układały się już do nucenia, a głos bezdźwięczny



urywał się w połowie, przechodząc w ciche drżące mruczenie.

Czoło jedynie pozostało nietknięte na tle ogólnego zniszczenia. Ten sam, co dawniej, miało wykroj kwadratowy i ani jedna nie bruździła go zmarszczka. Skupiła się na niem cała jasność, bijąca z jej duszy bohaterskiej. Kiedy jednak sen sklejał jej powieki, zamykając oczy wyblakłe, a głowa opadała bezsilnie na zgięte, wychudzone ramię, wówczas twarz jej, w zupełnem rozluźnieniu mięśni i ścięgien, stawała się straszną. Ze skrzywionych, zapadniętych ust ulatywał, wraz z wyciekającym z nich sznureczkiem śliny, słaby świst rytmiczny, potężne czoło spłaszczało dolną część maski tragicznej, noszącej na sobie wymowne ślady wszystkich lat przeżytych, mąk przecierpianych, walk zwycięskich i upokorzeń znoszonych. Ziemia barwa twarzy i zielonkawy odcień półtonów, przy zasłonięciu jedyne go żywego punktu—spojrzenia wypełzłych oczu—przypominały zupełnie trupa.

Ale złudny jest sen starców. Zdaje się podobnym do śmierci, a tak bardzo jest lekki!... Tak zdawało się, że śpi, w rzeczywistości jednak słuchała, chwytając dźwięki uchem, które — zarówno jak oko — nie utraciło nic ze swojej bystrości... I pewnego wieczora zadygotała, usłyszawszy rozmowę syna i synowej.

— Nie mów tak. Nie wiesz, [co mówisz. Ostatecznie to moja matka, wychowała mnie, wychowała naszą Fifi. Nie mogę jej wypędzić z domu.

— A kto ci każe wypędzać?... Niech ją sobie zabierze Franciszek. Jest przecież jej pierworodnym. Będzie żyła do dziewięćdziesięciu, może do stu lat. Widzisz przecież sam, że nie mamy dla niej miejsca. Jej pokój potrzebny jest dla Fifinki, która chciałaby urządzić sobie w nim pracownię haftów, młodsze dzieci śpią w marnej norze; nie możemy rozsunać ścian. Teraz kolej na Franciszka; niech on o niej pomyśli!...

— Franciszek ma także dwoje dzieci, które dotychczas nie zarobiły jeszcze wody na kaszę. I on gnieździ się w swoim mieszkanku jak może... Biedna mama!... Miejmy trochę litości dla niej — już i tak nie na długo...

— Niedługo?... niedługo, powiadasz?... Dożyje do stu lat, ma żelazne siły!... A jak zajada!... a jaka przywiązana do życia!...

Zły, gniewny głos, zrywający się w przenikliwy śmiech histeryczny, ranił serce staruszki ostrzem szpilek tysiącznych. Musi zatem umrzeć, skoro niema już dla niej miejsca na świecie?... Jak śmiała synowa twierdzić że kocha życie?... Nie żyje i nie umiera. Przeżyła się. Opatrzność powinna by w porę zsyłać łatwą śmierć biednym starcom, zsyłać im ją w nagrodę za dokonaną i ukończoną pracę życia, kiedy wyczerpała się siła ich odporna, a dzieci poszły już w świat swoją drogą.

Przełknęła w milczeniu truciznę świeżego upokorzenia. Po paru dniach poprosiła, aby ją odwieziono do Franciszka, poprosiła o to, jak o łaskę.

Powróciła do wielkiego miasta przemysłowego, wdrapała się, przy pomocy obu siwiejących już synów, na strome schody, zaciężkie na krótki, starczy jej oddech, i znów, jak ongi, usłała sobie pościel w kącie ciasnej, cuchnącej pleśnią kuchenki. Lodowate oczy Tereski powiedziały staruszcze bez ogródek, jak bardzo ciężyc będzie jej domowi marna ta, nawpół żywa już istota.

Obie nienawidzące się bratowe rzucały sobie wzajem teściową na kark; mężczyźni, słabi, opanowani przez żony, milczeli i tolerowali ten stan rzeczy; a ona nie żyła i nie umierała.

Walka o miejsce i o chleb była nerwem każdej rozmowy i ruchu każdego w tem ciasnym, pozbawionem promyka słońca, mieszkanku. Pisma socjalistyczne, drukowane ognistemi czcionkami, krążyły tu, przynoszone przez silnych wyrostków, kolegów ich fabrycznych i towarzyszy partyjnych, Wieczorem, przy stole, przy żółtem świetle gazu, sypały się z ust ich frazesy piorunowe, przetwarzające ustrój świata na modłę idealną. Wszyscy jednako bogaci!... Wszyscy muszą pracować. Gęby nieużyteczne nie mają prawa do życia.

Felicjana, zapomniana w swoim kąciku, pochyliła na pierś czoło barwy żółtego marmuru i słuchała w milczeniu, upokorzona. I ona jest taką gęba nieużyteczną. Czas już zamknąć ją garścią ziemi, dwiema, trzema, dziesięcioma łopatami ziemi, sypanemi jedna na drugą...

I śmierć przyszła nareszcie. Tak długo ją przyzywała, aż przyszła pewnego wieczora, kiedy, śpiąc oczami, ale nie uszami, usłyszała, jak dzieci i wnuki mówiły o przytułku dla zniedołężniałych starców, do którego wkrótce ją odwiozą dzięki wysokiej protekcji Franciszkowego pryncypała. Więc jeszcze raz zmienić ma miejsce, zejść ze schodów, spać na łóżku, danem z łaski, żyć pomiędzy siostrami w szarych habitach, stać się numerowaną żebraczką...

Nie, nie...! Tak gorąco prosiła o śmierć, że śmierć wreszcie przyszła. Zabrała ją cicho, o drugiej po północy, bez szmeru, dając jej w ostatnim momencie wizję geranji szkarłatnej, kwitnącej na słonecznym oknie.

O świcie, wobec trupa, zastygłego już na tapczanie kuchennym, uczucie wyzwolenia tak żywe było i silne u członków rodziny, że wydawało się bólem i przyjęło postać jego najbardziej zewnętrzną i najgłośniejszą. Przyjechał Leon z żoną i drobiazgiem. Obie bratowe przesiedziały całą noc przy zmarłej, opijając się kawą, ale zmarła nie widziała tego, była już daleko od nich.

Pogrzeb wypadł wspaniale, zwłaszcza że była to niedziela: za konduktem szło wielu robotników, kolegów Franciszka, w czarnych kapeluszach i czerwonych krawatach, z wyrazem twarzy, przystosowanym do smutnej ceremonji.

Jeden z nich wygłosił na cmentarzu, przed spuszczeniem trumny do grobu, mowę kwiecistą,

pełną słów mądrych, która wzruszyła obecnych do łez i omal nie została nagrodzona oklaskami.

I trumna, taka mała i lekka, że dziecko mogłoby ją unieść, spuszczone została do jamy świeżo wykopanej i grubo przysypana litościwą ziemią wilgotną, która nie będzie wyrzucała nieboszczykom ich snu wiecznego.

Znalazła wreszcie Felicjana miejsce, jedyne miejsce, gdzie spocząć mogą ubodzy starcy, kiedy dzieci ich poszły już swoją drogą, praca została dokonana, a siły odmówiły już posłuszeństwa.

